№ 3. WARSZAWA, 1 LUTEGO 1919 R. 1

GWIAZDKA
DLA MŁODSZEJ DZIATWY.
DODATEK DO „DRUŻYNY".

Powstanie.

Już ogarnął bój dokoła
Polską naszą ziemię...
Zrzuca pęta kraj nasz miły,
Zrzuca jarzma brzemię,

Tu, to ówdzie huk wybucha,
Słychać wrzenie bitwy —
Powiewają orły białe,
I pogonie Litwy!

W lasach, w borach, brzęczą [kosy,
Ognie płoną w kniei,
Znowu leci w niebogłosy
Piosenka nadziei!

Rozbudziły się na gniazdach
Nocą senne ptaki —
Wpadł Langiewicz i Moskalom
Dał się tęgo w znaki!

W całej Polsce bój wybucha
Od łana do łana —
Niechże Bóg ci dopomoże,
Ojczyzno kochana!

Marja Konopnicka.

Powstanie styczniowe.
w r. 1863-im.

Pięćdziesiąt sześć lat temu na ziemi polskiej toczyła się wojna. Dziadkowie i pradziadkowe wasi rozpoczęli wojnę z Rosją.

Dlaczego to uczynili?

Mieli do tego dwa ważne powody: Pierwszy powód ten, że Polska znajdowała się w niewoli, a drugi, że włościanie nie byli właścicielami ziemi, którą uprawiali, a musieli za nią odrabiać tak zwaną pańszczyznę.

Dziadkowie wasi podjęli walkę, gdyż chcieli oswobodzić ojczyznę z niewoli i uwolnić włościan od odrabiania pańszczyzny.

Rząd rosyjski prześladował okrutnie wszelkie zamysły oswobodzenia Polski, stawiał przeszkody do uwłaszczenia włościan, czyli nadania im ziemi na własność.

W wielkiej więc tajemnicy przed władzami rosyjskiemi powstał wtedy Rząd Narodowy polski i wydał niezwłocznie odezwę do narodu z zapowiedzią, że przystąpi do powstania, aby przywrócić Polsce wolność, zapewnić równość i swobodę wszystkim stanom*) i uwłaszczyć lud wiejski.

Niedługo potym, d. 22 stycznia 1863 r., Rząd Narodowy ogłosił powstanie i tego samego dnia wydał Dekret, czyli rozporządzenie, mocą którego, „wszelka posiadłość ziemska, jaką każdy gospodarz tytułem pańszczyzny lub czynszu posiadał, wraz z ogrodami i zabudowaniami od dnia dzisiejszego staje się jego wyłączną i dziedziczną własnością, bez żadnych danin i pańszczyzny". Tegoż dnia 22-go stycznia księża ogłosili ten Dekret z ambon, i od tej chwili bezpłatne roboty w kraju ustały.

Jednocześnie wybuchło powstanie. Po lasach tworzyły się oddziały Ta-

*) Główne stany w narodzie są następujące: stan szlachecki, stan mieszczański i stan włościański.

jemnie, narażając się na wielkie niebezpieczeństwa, dostarczano im broni, prochu, kul, a także ubrania i pożywienia. Mieszkańcy wsi i miasteczek otaczali oddziały powstańców opieką, dawali znać o zbliżaniu się wroga, przeprowadzali przez puszcze, bagna i rzeki. To też powstanie, dzięki tej życzliwości mogło przetrwać blizko półtora roku (od 22-go stycznia 1863 r. do maja 1864 r.).

Bili się powstańcy mężnie i w bardzo wielu bitwach zwyciężali wroga. Zasłynęli wtedy dzielni dowódcy: Langiewicz, Chmieliński, Lelewel-Borelowski, Bosak-Hauke, Czachowski, ksiądz Brzózka i wielu, wielu innych.

Chociaż Rosja ostatecznie zwyciężyła i zgniotła powstanie, lecz krew i trudy powstańców nie poszły na marne.

Przedewszystkiem więc wywalczyli oni uwłaszczenie włościan, gdyż cesarz rosyjski nie obalił już Dekretu Rządu Narodowego, był zmuszony przeprowadzić uwłaszczenie*), a nawet u siebie w Rosji uwolnił włościan od poddaństwa i nadał im ziemię.

To jedna wielka zdobycz powstania styczniowego.

A druga zdobycz — to zaświadczenie przed narodem i przed światem całym, że Polacy nie pogodzili się i nie pogodzą z niewola, że dążyli i dążyć będą do odbudowania wydartego im Państwa Polskiego, że gotowi są za wolność ojczyzny oddać krew swą do ostatniej kropli.

Pamiętajcie o ptaszkach!

Zima i brak żywności daje się we znaki wszystkim, ale chyba najwięcej ptaszkom. Biedne wróbelki, gile, sikory i śmieciuszki lub szczygły, przymierają głodem i giną nieraz masami w czasie mrozów i wielkich śniegów.

Niech dziatwa okaże, że ma serduszko nie z kamienia, niech tym biedakom da nieco ziaren, nieco okruszyn i resztek od śniadania. Z nadejściem wiosny odwdzięczą się one swym szczebiotem, a niejeden z tych skrzydlatych śpiewaków zadławi szkodliwych robaków, które wam na drzewach smaczny owoc psują.



GNIAZDKO.

Dzieci, pamiętajcie o ptaszkach!

Nie łapcie ich w żadne sidła; psujcie je, jeżeli inni chłopcy zastawią katowskie stryczki te na bezbronne i głodne stworzenia.

Nie wypędzajcie ptaszków z przed obór, chlewów lub sieni, dajcie im się ogrzać i posilić.

Nie bądźcie bez serca!

*) Rząd rosyjski, wykupiwszy dla włościan za małe pieniądzie ziemie od większych właścicieli, kazał sobie włościanom polskim przez długie lata płacić podatki za te ziemie.

Z moich pamiętników.

(Dokończenie).

Dobrze było jeździć na cudzych sankach, ale najlepiej to mieć swoje. Ja byłem tego samego zdania i jeździłem przeważnie na swoich od najmłodszych lat. Najpierwsze moje sanki były z teki drewnianej, w jakiej zwykle chłopcy wiejscy książki szkolne noszą. Teki zrobione są z desek i tworzą płaską skrzynkę, noszoną pod pachą lub na plecach. Nie mając sanek, siadałem na takę jak na konia i jechałem z pierwszej lepszej obmarzniętej górki. Polec'ałem nieraz głową na dół, a to wtedy, gdy teka, jadąc, zatrzymała się raptem o jaki kamień lub patyk wmarżnięty. W każdym razie jeździłem, a tak samo jeździli i inni rówieśnicy. Z czasem nauczyłem się robić sanki prawdziwe, z zadzierzystemi płozami. Robiłem je małe a potem większe; jeździłem z początku sam lub wciłem młodszego brata, potem spuszczałem się z gór nadrzecznych, a że nauczyłem się kierować sankami, więc jechałem prosto, nieraz na pół wiorsty daleko. Jazda to była szybka, aż wiatr świstał koło uszu. Z powrotem co prawda sanki trzeba było ciągnąć na piechotę, ale za to później znowu była jazda i tak dokoła. Na większe sanki siadało nas kilku odrazu, a jeden zwykle siadał z tyłu i kierował. Kierować sankami była pewna sztuka, od tego zależała cała przyjemność jazdy. Złe kierowanie sprawiało wywrócenie się i połamanie sanek, unurzanie się w śniegu lub pokaleczenie jeżdżących. To też na kierowników wybierano mocniejszych. Kierowanie polega na tym, że siedzący z tyłu, mając opuszczone nogi z obydwóch stron sanek, odpowiednio naciskają ziemię obcasami, nadając pewnej stronie sanek opór, dzięki czemu sanki biegły tak, jak sobie życzył kierujący. Co do mnie, to umiałem kierować dobrze, darły mi się jednak buty, za co miałem nieprzyjemności w domu, ponieważ ojciec po każdym moim powrocie zaglądał do obcasów, których codzień ubywało, niekiedy z kawałem wyższej części buta.

Czasami, jak np. w zapusty, zbieraliśmy się w kilkunastu właścicieli sanek i jeździliśmy wtedy na przełaj hurmem. Co było wtedy wesołości i śmiechu, ile sanek nałamało się, a ile obcasów zostało w śniegu, to i spamiętać trudno.

Nie mniej od sanek lubiłem łyżwy. Ślizgać się jednak zaczynałem tak, jak przeważnie wszyscy chłopcy wiejscy—na swoich podeszwach. Darło się buty, to darło, ale od czegóż są szewcy w miasteczku?—wcale im to przykrości nie sprawiało.

Początek mojego ślizgania się był taki: Po pierwszym grudniowym mrożie wychodzę z domu i patrzę, a tu dokoła na polu, gdzie stała woda w zagłębieniach, lód jak lustro. Skoczyłem naprzód, nabrałem zamachu i sunąłem się po lodzie. Straciłem jednak równowagę i bęc!—uderzyłem głową o gładką taflę, na której zaraz utworzyła się gwiazda promienna z dołkiem pośrodku. Porwałem się na nogi i pobiegłem do domu, nie czując na razie bólu. Zaraz jednak na wstępie spytano mnie, kto mi tak czoło pokrwawił. Złapałem się wtedy za czoło i namacałem dużego guza, poczułem też ból, na ręku zaś zobaczyłem krwawe plamy. Na ślizgawkę wogóle nie kazano mi chodzić, to też i teraz strach mię ogarnął.

— Ślizki był lód i upadłem—mówię z bojaźnią.

Ojciec jednak nie zważając na tłumaczenie moje, wyszedł przed dom i oglądał z podziwem gwiazdę, którą własną głową zrobiłem.

Z czasem nauczyłem się, tak jak chłopcy ślizgać na jednej nodze, albo na dwuch kantach butów; ślizgało się wtedy dobrze, ale butom nie szło na zdrowie.

Nie wystarczyło mi jednak slizganie się na butach: słyszałem, że są na świecie „łyżby“ na których ślizgają się bogaci panowie po miastach.

— A co to są te „łyżby“?—pytam raz starszego chłopca.

— Oho! bracie,—powiada — to są

takie „masiny“, które przykręca się do buta i jeździ strasznie prędko.

— A ile to kosztują?—pytam.

— Ile kosztują? tego nie wiem, ale chyba ze sto rubli—powiada mi.

Usłyszawszy wyraz „sto“ przestałem nawet myśleć o łyżwach, postanowiłem za to wymyśleć sobie coś podobnego i zrobić samemu. Najpierw jeździłem na patyku, potem na kawałku drewna, przywiązanego sznurkiem, potem zrobiłem prawdziwą łyżwę z drzewa brzozowego, na której jeździłem całą zimę po wszystkich drogach, gładko ubitych i ujeżdżonych saniami.

Pewnego jednak razu wpadły mi do ręki prawdziwe łyżwy metalowe, które wkręcało się śrubą w obcas od spodu. Dowiedziałem się też, że kosztowały tylko rubla. Od tej pory spać nie mogłem, zarobiłem też trochę pieniędzy i pobiegłem do Łomży dwie mile odległej, gdzie kupiłem na rynku w starym żelastwie łyżwy za pół rubla. Ile to było uciechy, to i opisać trudno. Wkrótce też nauczyłem się ślizgać, na co poświęcałem każdą wolną chwilę od lekcji.

Na drugą zimę kupiłem jeszcze lepsze łyżwy, a ślizgałem się na nich nie tylko po gładkim lodzie, ale z gładkich obmarzłych gór, stojąc. Pędziłem wtedy jak wicher z ćwierć wiorsty, a z pod łyżew aż skry się sypały, gdy dotarłem wystający kamień. Niemądra jazda! Mocniejsze zaczepienie o kamień, lub odpadnięcie łyżwy od buta spowodowało by śmierć lub ciężkie kalectwo. Obecnie dziwię się sam sobie, że byłem tak nierozsądny, i że do dziś żyję... A miałem już wtedy lat 13! Raz miałem przykrą przygodę. Pobiegłem na lód do rzeki przy 20-stopniowym mrozie. Zimna w sobie nie czułem, ale odmroziłem sobie uszy i palce tak, że ledwie mi odeszły, tarłem je śniegiem aż do krwi i zdarcia zwierzchniej skóry.

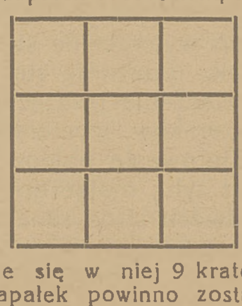
Próbowałem osiągnąć z łyżwiarstwa i cel praktyczny. Jeździłem też na nich do pobliskich wiosek, gdy droga była lodowata i do Łomży po sprawunki. Do Łomży jeździłem rzeką, a nie było to bardzo blisko. Trzy mile w jedną i tyleż z powrotem, razem 6 mil. Wyjeżdżałem zwykle o godz. 9 rano, a wracałem na 4 po poł. Jazda więc odbywała się szybko, wprawę zaś miałem taką, że się ani razu nie przewróciłem. Jeździłem też blisko brzegu i uważałem pilnie, ażeby nie wpaść w przerębel lub nie zamarznięte miejsce. Po pierwszej podróży taki byłem zmęczony, że parę dni z trudnością chodziłem.

Pisząc o łyżwach nie mogę przemilczeć mojego jeżdżenia na nartach („ski“). Czytałem o nich w gazecie i widziałem ich na rysunku. Zabrałem się do roboty nart. Pracowałem przez kilka dni i zrobiłem zupełnie dobrze. Jeżdżenie jednak nie wypadło pomyślnie. Podjechawszy nieco, przewróciłem się, a że ogromnie długie narty przywiązane były do nóg, więc nie mogłem się podnieść z ziemi. Musiałem pozrywać rzemienie. Próby późniejsze też nie wypadły pomyślnie. Zarzuciłem więc tę jazdę. W lat kilka dowiedziałem się, że jeździ się na nartach zupełnie inaczej, niż to ja robiłem. Dałem już jednak spokój.

A. Ch.

Łamigłówka z zapałek.

Z 24 zapałek zrobić taką figurę:



Znajduje się w niej 9 kratek. Po odjęciu 5 zapałek powinno zostać tylko 5 kwadracików. Jak to zrobić?

Redaktor: ADAM CHĘTNIK. Wydawca: Związek Kółek Rolniczych.